

Łepkowski, Tadeusz

O polsko-antylskim dramacie początków XIX w. : (na marginesie pracy Jana Pachoskiego, Polacy na Antylach i Morzu Karaibskim, Kraków 1979)

Przegląd Historyczny 71/4, 809-817

1980

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

O polsko-antylskim dramacie początków XIX w.

(na marginesie pracy Jana Pachońskiego, *Polacy na Antylach i Morzu Karaibskim*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1979, s. 456)

I. Oczekiwałem niecierpliwie tej książki, wiedząc dobrze, że jedynie Jan Pachoński, wyborny znawca dziejów legionowych i historii wojskowej czasów napoleońskich, może dać czytelnikowi polskiemu (nie tylko historykom, gdyż *polonica* napoleońskie wywołują zaciekawienie szerokich kręgów społeczeństwa) nowe, wyczerpujące opracowanie tragicznego antylskiego epizodu w historii tych żołnierzy polskich, co z ziemi włoskiej szli ku niepodległej Polsce.

Dawne monografie, tak częściowe (Szymon Askenazy, 1918), jak całościowe (Adam Skałkowski, 1921) są już bardzo przestarzałe, a wiadomo też, że oparto je na dalekiej od kompletności podstawie źródłowej. Dodajmy, że książka Skałkowskiego, co słusznie zauważa Pachoński, grzeszy daleko posuniętym brakiem obiektywizmu (czasami wydaje się, że autor pracy „Polacy na San Domingo”, jest francuskim plantatorem kolonialnym, nienawidzącym zbuntowanego czarnego motłochu).

Dawne opracowania, traktujące o polskiej eposie na San Domingo, interesowały się zazwyczaj wyodrębnioną dość sztucznie historią polskich legionistów. Historia ta wyobcowana była w sposób dwojaki, rzeczowo-geograficzny i chronologiczny. Ledwie więc szkicowały wspomniane książki kontekst francuski, haitański i szerzej — międzynarodowy a pod względem geograficznym prawie nie wychodziły poza wyspę Haiti. Ramy chronologiczne ograniczano zazwyczaj do lat 1802—1803 (zachodnia część Haiti) i 1804—1809 (wschodnia część wyspy). Autor omawianej tu książki zerwał ze złą tradycją, dając nam szeroką panoramę losów legionistów od momentu ich odjazdu z Europy, a nawet od chwili podjęcia decyzji o wystaniu do Nowego Świata 113, a następnie 114, półbrygady poprzez walki na San Domingo aż po dzieje tułaczki i jenieckiej w przymusowej diasporze (Jamajka, Kuba, Stany Zjednoczone, Anglia) i powrót niedobitków z kolonialnej wojny do Francji, a niektórych do Polski. Prawda, że dominantą pracy Pachońskiego pozostaje pobyt żołnierzy polskich na wyspie Haiti, prawda też, że tło wydarzeń nie zawsze wydaje się dostatecznie zagęszczone (do tej sprawy jeszcze powrócę), lecz z pewnością studium jest całościowe, ma szeroki oddech.

Książka jest „wysoko erudycyjna”, specjalistyczna, jak się teraz mówi, niezwykle szczegółowa, uwzględniająca szeroko rozbudowany aparat naukowy (bogate przypisy, bibliografię, mapy, ciekawie skonstruowaną tablicę chronologiczną, indeksy, niezwykle cenny aneks, przynoszący dokładne informacje o losach wszystkich oficerów legionowych przydzielonych do armii San Domingo) a jednak czyta się ją bardzo dobrze, miejscami z zapartym tchem.

Autor zamieścił jako „aneks II” nader ciekawe studium pt. „Echa wyprawy na Antyle w literaturze i sztuce polskiej”. Był to zaiste pomysł doskonały. Mam wszakże do prof. Pachońskiego dużą pretensję: o zbytnią skromność i o tradycyjne ujmowanie problematyki historycznej. Rozumiem, że autor, specjalista w zakresie dziejów wojskowości, nie będący historykiem literatury i sztuki, uznał, iż studium „aneksowe” powinno być potraktowane jako tekst marginalny, niemal hobbystyczny. Dlaczego? To doprawdy nadmierna skromność. Ale, co istotniejsze, nie zechciał zauważyć (to właśnie tradycjonalizm!), że szkic o literaturze i sztuce stanowi integralną część historii, którą opisał. Rzecz powinna była stać się nieodłączną partią głównego tekstu książki. To nie jest wszak żaden aneks, lecz żywa część

dziejów żołnierzy ztraconych na San Domingo, ich historia przechowana w pamięci narodo-
wej, niezbędny podrozdział zakończenia, noszącego tytuł „Problemy i spory”.

2. Imponująca jest źródłowa podstawa książki. Jan Pachoński wyzyskał szczególnie skrupulatnie liczne manuskrypty francuskie (Archives Nationales, Archives des Armées, Archives du Ministère des Affaires Étrangères, Bibliothèque Nationale), archiwalia włoskie (Mediolan, Genua, Livorno), brytyjskie (głównie Public Record Office i War Office) i polskie (AGAD, WAP Poznań, Biblioteka Narodowa, Ossolińskich, Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego, Kórnicka, Jagiellońska). Gdy idzie o rękopiśmienne materiały polskie, mamy tu do czynienia z zespołami i dokumentami w znacznej mierze dziś już nie istniejącymi, a szczęśliwie zgromadzonymi (wynotowanymi) przez autora (m. in. zbiory rapperswilskie, Ordynacji Krasieńskich). Pachoński wyzyskał znajdujące się w jego posiadaniu materiały z AGAD, spalone podczas ostatniej wojny, pozwalające na odtworzenie stanów służby oficerów legionowych. Dodajmy jeszcze okrucy archiwaliów z USA i Jamajki a twierdzenie o imponująco szerokiej bazie dokumentacyjno-archiwalnej stanie się niepodważalne.

Bogato przedstawia się bibliografia, zarówno w dziale źródłowym (wydawnictwa źródeł, tak bieżące, oficjalne, jak erudycyjne; epistolografia; prasa; pamiętniki) jak opracowań. Autor skrupulatnie spożytkował materiały drukowane różnego charakteru (do przekazów literackich i publicystyczno-reportażowych włącznie), publikowane w różnych językach i różnych krajach (m. in. Polska, Francja, Haiti, USA, Wielka Brytania, Kuba). I wreszcie uwzględnił informacje, uzyskane w toku rozmów, wywiadów i korespondencji. Zabiegi Pachońskiego, zmierzające do skompletowania możliwie najbogatszej dokumentacji ikonograficznej, uwieńczone zostały powodzeniem. Pochodzące z różnych kolekcji polskich i zwłaszcza zagranicznych ilustracje są ciekawe. Niewiele jest na świecie książek poświęconych rewolucji haitańskiej, które mogłyby pochwalić się tak obfitym i oryginalnym materiałem ikonograficznym, jak dzieło o Polakach na Antylach i Morzu Karaibskim.

3. Książkę Pachońskiego cechuje duży obiektywizm, choć nie tylko analizowany materiał, lecz i serce skłaniają autora ku lub kierują przeciw określonych nacjom, państwom, armiom. Jest w pełni zrozumiałe, oczywiste i do pewnego stopnia niezbędne nastawienie polonocentryczne autora. Czasami jednak owa „propolskość” ma zbyt mocne natężenie kosztem reprezentantów innych narodowości. Polacy niemal z reguły mają dobre intencje, są szlachetni, honorowi, wierni, w sumie — wyłączając jednostki — prezentują się jako typowi bohaterowie pozytywni.

Gdybym chciał streścić moje impresje po lekturze pracy (a sądzę, że podobne mogą mieć i inni czytelnicy) to powiedziałbym co następuje: odbiorca tekstu ma uczucia gorącej sympatii wobec Polaków, umiarkowanie pozytywne wobec Haitańczyków, bardzo ciepłe wobec Hiszpanów, dość niechętne wobec Francuzów i zdecydowanie niechętne wobec Anglików.

Szczególnie interesująco przedstawia się naszkicowany w książce obraz Francuzów i Anglików, a zwłaszcza ich stosunek do Polaków. Pachoński, jak to wynika jasno z wcześniejszych jego prac, ma do Napoleona stosunek dość krytyczny, odróżniający go od sporej grupy historyków i bardzo dużego odłamu polskiej opinii publicznej, wyraźnie i bezkrytycznie pronapoleońskiej. W sprawie San Domingo miał — we wstępnym założeniu, przed badaniem — wyjątkowo łatwe zadanie. Polityki Bonapartego wobec rewolucji haitańskiej i wobec Polaków, zmuszonych przezeń do wykrwawiania się na Antylach, trudno bronić. Nie czynią tego nawet najzgorzalsi polscy wielbiciele Napoleona, co najwyższej usiłują zminimalizować całą sprawę. Tymczasem Pachoński niemal beznamiętnie, bardzo chłodno i rzeczowo wyważył odpowiedzialność Pierwszego Konsula za losy nieudanej interwencji zbrojnej na San Domingo i wysyłkę żołnierzy polskich za Atlantyk. Udawadnia w sposób niepodważalny i definitywny, że Bonaparte nie przeznaczył (idzie o zamysł, o intencje) wszystkich legionistów na zagładę. Potrzebował mięsa armatniego, to prawda, i Polacy w Europie nie byli dlań „wygodni”, lecz pierwsza z polskich pół-brygad jechała jednak po sukces, jeśli nie pewny to prawdopodobny. Dopiero druga wysłana była na śmierć. Militarne rozwiązanie kampanii w Saint Domingue, a i polityczne również, potraktować można jako jedno z większych

niewpodzeń Napoleona. Znamienne, że Bonaparte doskonale potrafił zwyciężać monarchów i ich regularne armie, natomiast walczyć z narodami, z ludowymi powstańcami, nie umiał i przegrywał.

Lecz Francuzi to nie tylko Napoleon. Pachoński ukazuje z całą ostrością negatywny, nieufny, hiperkrytyczny, nieraz brutalny i zdradziecki (ewakuacja Jérémie i pozostawienie Polaków na łasce losu i zwycięzców) stosunek większości dowódców, wyższych oficerów francuskich, do polskich towarzyszy broni. Był to jeden z najboleśniejszych aspektów tragicznego losu Polaków, rzuconych na San Domingo. Nie można się dziwić, że nastroje antyfrancuskie i antynapoleońskie, zarówno w Polsce jak na emigracji, osiągnęły w latach 1803—1805 niezwykle silne natężenie.

O chwilowym załamaniu się polskiej, na ogół nieodwzajemnionej, miłości do Francji współczesny wykształcony Polak, a zwłaszcza polski historyk, coś wie, natomiast o antypolskiej postawie Anglików nie wie nic.

Relacja o pełnym niechęci i pogardy stosunku synów Albionu do polskich jeńców, jaką przedstawił Pachoński, jest wstrząsająca (rozdział „Na Jamajce”). Wziętych do niewoli Polaków z reguły „metodycznie” obrabowywano, morzono głodem na ponurych, przypominających obozy koncentracyjne, starych okrętach-więzieniach, bito, gdy odmawiali „ochotniczego” wstąpienia w szeregi armii brytyjskiej. Anglicy traktowali żołnierzy „jak anonimowe mięso armatnie, podobnie zresztą jak zaborcy Polski traktowali rekruta pobieranego na naszych ziemiach” (s. 199). Część szeregowców, wycieńczona, doprowadzona do rozpaczki warunkami, w jakich wypadło im wegetować, przywdziewała mundury brytyjskie. Niektórzy oficerowie i szeregowcy zostali przetransportowani na wyspy brytyjskie. Większość przeżywała lata niewoli w nader ciężkich warunkach, wśród różnych szykan ze strony Anglików (stosunek Szkotów do naszych jeńców był przyjazny). Brytyjczycy niechętnie wymieniali i zwalniali polskich oficerów. Szczególnie długo zwlekali z obdarzeniem wolnością zwykłych żołnierzy, nawet po upadku Napoleona. Wydaje się, że głęboka niechęć, jaką żywili Anglicy wobec Francuzów, przelała się ze wzmoczoną siłą na Polaków, sojuszników Francji. Mimo interwencji Aleksandra I u Jerzego III specjalny wysłannik cesarza rosyjskiego, gen. Jana Krukowiecki zdołał repatriować do Polski tylko kilkudziesięciu ludzi. Około 1000 Polaków wciąż przetrzymywano w oddziałach brytyjskich. Część polskich żołnierzy, jak się wydaje, nigdy do kraju nie powróciła. Wiadomo, że „jeszcze w 1816 r. 45 Polaków ze strzelców brytyjskich w Gibraltarze prosiło władze Królestwa Polskiego o wyzwolenie” (s. 211).

4. Zwięzłe, syntetyczne określenie wagi tego, co przynosi książka Pachońskiego, nie jest łatwe. Praca nosi charakter przede wszystkim opisowy, „historyzujący”, mniej zaś problemowy. Relacja jest w zasadzie chronologiczna, tak więc ukazanie istoty wkładu autora do naszej historiografii sprowadza się do odnotowywania informacji i ustaleń cząstkowych, etapowych (losy jednostek i oddziałów) a następnie podsumowań, głównie liczbowych. To oczywiście niemało. Obecnie wiemy już dokładnie, że wyjechało na Antyle 5280 legionistów, że około 4000 zginęło lub zmarło, niemal z reguły na żółtą febrę. Znaczna większość strat przypada na szeregowców i podoficerów. Z 259 oficerów zginęło 112 (43%) a z 11 zaginionymi („los niewiadomy”) 123 czyli 47%. Przeżyło kampanię San Domingo około 1280 żołnierzy. Z tej liczby, jak pisze Pachoński na s. 260, „około 700 Polaków biorących udział w wyprawie na Antyle nie zostało straconych dla sprawy narodowej (choć to włączanie się ich w nurt życia unormowanego trwało aż do 1815 r.)”. Reszta bądź to pozostała na stałe w Haiti (około 240 osób), bądź rozsiała się po świecie (Kuba, Stany Zjednoczone, wschodnia część Haiti czyli późniejsza Dominikana, Jamajka, zapewne też Anglia).

Pachoński jeszcze jedno ostatecznie ustalił i to ponad wszelką wątpliwość, a mianowicie to, że tragiczna epopeja Polaków na San Domingo niesłychanie głęboko i trwale odcisnęła się na polskiej świadomości narodowej, stała się bolesną i nie zapomnianą przestrogą. Nie szło tu nawet o liczbę strat, bo wszak wojny Księstwa Warszawskiego pochłonięły ich znacznie więcej. Rzecz dotyczyła raczej dramatycznego konfliktu między poczuciem obowiązku, lojalnością i wiernością, na którą przysięgali żołnierze, a uczestnictwem w niesprawiedli-

wej wojnie, która nie przyspieszała oswojenia Polski, a miała na celu uniemożliwienie wyzwolenia się Haiti. Od czasów San Domingo niechęć do zorganizowanego uczestnictwa polskich żołnierzy w zamorskich wyprawach kolonialnych, niemal uraz a ściślej ostre uczulenie na tym punkcie, stała się trwałą komponentą naszej świadomości społecznej.

5. Książka Jana Pachońskiego podnosi pewne problemy warte przedyskutowania, zanim jednak to uczynię pragnęlbym zwrócić uwagę na niektóre drobniejsze niedociągnięcia pracy w warstwie faktograficznej. Łatwo zauważyć, że wśród ogromnej liczby informacji, jakimi jest nasycona omawiana praca, margines pomyłek okazał się wąski. Błędy odnoszą się głównie do nazewnictwa antylskiego (nazwiska, nazwy geograficzne). Trudno potraktować te pomyłki jako korektorskie, gdyż powtarzają się często, również w indeksach, i nie zostały uwzględnione w erracie. Znamienne, że lapsusy dotyczą nie poloników, lecz z reguły „tła”.

Plemię zachodnioafrykańskie (ściślej zespół plemion) nazywa się Bambara a nie Bambera (s. 27). Użycie nazwy angielskiej dla kraju, którego ludność posługuje się językiem hiszpańskim (wschodnia część wyspy Haiti) nie wydaje się poprawne, dlatego należało napisać Bahía de Samaná albo z polską Zatoką Samana, lecz nie Samana Bay (s. 40). Powinno być Ravin aux Coulevres, a nie Couleurs (s. 42). Najdalej na wschód wysunięty przylądek Kuby to Maisi a nie Maysi (s. 81 i *passim*), choć przyznać trzeba, że w XVIII i XIX w. pisownia hiszpańska była chwiejna i nierzadko zastępowała „i” literą „y”. Nizina Cul-de-Sac nie leżała i nie leży w dep. Artibonite (s. 97), lecz w dep. zachodnim. Autor używa zamiennie nazwy Haut Cap i Haut du Cap (s. 69, 175 i *passim*). Prawidłowsze jest Haut du Cap. Miejscowość w dep. południowym nosi nazwę Irois (ściślej Les Irois) a nie Icrois (s. 126). Masyw górski w tymże departamencie to Macaya nie zaś Macaye (s. 126). Croix-des-Bouquets leży nie na północ od Port-au-Prince (s. 155) lecz na północny wschód od stolicy Haiti. Rzeka graniczna między francuską a hiszpańską częścią San Domingo nazywa się Dajabon (czasem Daxabon) nie zaś Axabon (s. 223). Położone nieopodal granicy miasteczko dominikańskie to Monte Christi a nie Monte Christo (s. 223). Zamiast Pederneles lub Pedernelles i Dexoban (s. 233 i 441) powinno być Pedernales i Dajabon, a zamiast Hincha (s. 233) Hinche. Najwyższy szczyt Kuby, Pico Turquino nie liczy 2560 m (s. 212) lecz znacznie mniej (podaje się 1995, 2000 lub 2005 m).

W kilku wypadkach zostały przekrecone nazwiska dowódców haitańskich. Zamiast Gangé, Scylla (s. 43) i Macay (s. 49) powinno być Cangé, Sylla i Macaya. Z innych drobiazgów: francuskie słowo *désert* oznacza pustynię, nie zaś puszcę (s. 229), a kolegium hawańskie nosiło nazwę El Salvador a nie El Salvator (s. 274). Przykrejszy jest błąd, dotyczący dyplomaty, oficera i historyka w jednej osobie, płk Nemours, Jan Pachoński czyni zeń Francuza (s. 9), gdy tymczasem był to Haitańczyk, ambasador Haiti w Paryżu. Popelniając ten błąd autor książki „wzbogacił” historiografię wojskową francuską kosztem haitańskiej.

Od „korekty” przechodzę do spraw poważniejszych. Nie pojmuję, dlaczego autor pisze — wbrew oczywistości — że Cap Français (nazywany zresztą potocznie tak w czasach kolonialnych, jak obecnie, po prostu Cap) nazywał się do 1670 r. Cap Haitien (s. 19, 68)? Nazwa indiańska Haiti i przymiotnik haitański znikły wraz z eksterminacją rdzennej ludności wyspy, a przywrócono je dopiero w 1804 r., oczywiście w wersji francuskiej. Arawakowie nie znali pisma, lecz oczywiście nie mogli, mając własny język, używać nazwy w brzmieniu francuskim. Po Kolumbie koloniści hiszpańscy nazywali Cap albo Cabo Santo, albo Guarico, albo — jeszcze przed kolonizacją francuską — Cabo Francés.

Pisząc o pochodzeniu Murzynów mieszkających w Saint Domingue bezpośrednio przed wybuchem rewolucji Pachoński stwierdza, że niewolnicy przybyli z Konga przeważali nad towarzyszami pracy wywodzącymi się z innych części Afryki (s. 27). Najobszerniejszego dzieła wybitnego francuskiego badacza Gabriela Debien („Les esclaves aux Antilles françaises. XVII^e — XVIII^e — siècles”, Basse-Terre — Fort-de-France 1974) Pachoński nie zna, a w oparciu o tę pracę i wiele innych ustalić można, co następuje. Około 1790 r. *circa* połowę czarnych mieszkańców francuskiego San Dómingo stanowili Murzyni urodzeni w tej kolonii. Wśród

nowo przybyłych Kongosi plasowali się na pierwszym miejscu (1/3 część świeżo sprowadzonych a więc nie tylko relatywna większość), przy czym do etnicznego pojęcia Congo włączano, obok rzeczywistych wychodźców z Konga, również czarnych Angolafczyków i ludzi z plemion, zamieszkujących dzisiejszy Kamerun, Gabon i Gwineę Równikową. Piszę o tym dlatego, by we właściwej proporcji ukazać rolę trzymających się zazwyczaj razem Kongosów w wojnie o niepodległość Haiti. Roli tej nie należy przeceniać, gdyż właściwi Congos nie stanowili zapewne więcej niż 10—12% ogółu czarnej ludności Saint Domingue.

Pachoński powtarza znaną tezę historiografii (zwłaszcza dawniejszej) krajów posiadających kolonie niewolnicze, a głoszącą, że „Murzyn afrykański nie lubił systematycznej pracy — stanowiła dlań udrękę” (s. 28). Jest to typowa pół-prawda. Nie jest tu nawet najważniejsze to, że od owej tezy prowadziła często prosta i krótka droga do stwierdzenia, że Murzyn w ogóle nie lubił pracy (stąd logiczny wniosek: trzeba mu ją zorganizować i do niej skłonić przymusem). Przeniesienie Afrykanina do warunków gospodarczo-społecznych diametralnie różnych od tych, jakie znał i narzucenie niezwykle intensywnego wysiłku, niewolniczej pracy, permanentnej i wszechogarniającej kontroli, przy jednoczesnej destrukcji więzi rodzinnych i etnicznych, musiało go nastawić negatywnie do kapitalistycznej w swej esencji „systematycznej pracy”. Dodajmy, że robota na plantacjach (wytworzenie ogromnych ilości cukru, indygo, bawełny lub kawy) wydawała się niewolnikowi całkowicie niezrozumiała i bezsensowna, a w konsekwencji nienawistna. Przypomnieć warto, że niewolnicy domowi i wyzwolenicy nader często chwaleni byli za pracowitość. Dla niewolnika produkcyjnego splatały się w nieznośną, infernalną jedność: pozbawienie swobody, przymus pracy i plantacja. Dlatego nie zadowolilo Murzynów z San Domingo samo wyzwolenie przy jednoczesnym zachowaniu dwóch członków piekielnej „triady” (Toussaint-Louverture, Dessalines, Christophe). Tylko biorąc pod uwagę ten aspekt sprawy można Toussainta nazwać zachowawcą (s. 36), natomiast ta ocena musi być uznana za błędną, jeśli punktem odniesienia będzie przywracająca niewolnictwo postrewolucyjna, konsularna Francja.

Trudno zgodzić się z określeniem języka kreolskiego — „języki tubylcze, będące mieszaniną języków prymitywnych i języków: francuskiego, hiszpańskiego, angielskiego” (s. 101). Kreolski nie jest oczywiście żadną mieszaniną (wątpię czy w językoznawstwie słowo takie coś oznacza). Pominę prymitywizm i tubylczość, choć warto zauważyć, że dla Europejczyków, tubylcy mieszkają wyłącznie poza Europą (nie stwierdziłem, by ktokolwiek na Starym Kontynencie mówił lub pisał o tubylcach we Francji lub o języku tubylczym nad Wisłą), lecz przypomnę, iż kreolski z San Domingo to język o słownictwie pochodzenia głównie francuskiego, częściowo afrykańskiego (aporty hiszpańskie są niewielkie, angielskie minimalne) i o strukturze gramatyczno-składniowej, zbudowanej na podstawie zachodnioafrykańskiego języka fon.

Do marginalnych partii książki, poświęconych Jamajce i Kubic, zakradło się parę nieścisłości. Majowie nie mieszkali na Jamajce przed podbojem wyspy przez Hiszpanów (s. 187). Jamajscy *maroons* to nie niezawisłe grupki murzyńskie (s. 188), lecz mieszkańcy sporego terytorium w głębi wyspy, faktycznie niepodległego (Anglicy musieli niejednokrotnie pertraktować z *maroons* i to bynajmniej nie z pozycji panów). Karol Rolow Miałowski (Carlos Roloff) nie wywarł — wbrew informacji ze s. 274—275 — żadnego wpływu na powstanie konstytucji kubańskiej 1869 r. Nie było go nawet w Guáimaro, gdzie obradowało zgromadzenie konstytucyjne kubańskiej Republiki pod Bronią.

6. Trzonem pracy jest analiza wojny 1802—1803 r. (w dużo mniejszym stopniu obrony Santo Domingo w latach 1805—1809) z punktu widzenia działań i losów uczestniczących w niej żołnierzy polskich. W tej wojnie Polacy byli po stronie kolonizatorów. Autor książki boleje nad tym, że legionistów zmuszono do walki przeciw bijącym się o wolność i niepodległość Murzynom i Mulatom, ceni sobie jednak polską wierność — na przekór wszystkiemu — sztandarom konsularnej republiki. Owa wierność przysiędze stanowi dla Pachońskiego wartość, i to wartość wielką. Dlatego cieszy się — odnoszę takie wrażenie — że bardzo niewielka liczba polskich żołnierzy przeszła na stronę armii Dessalinesa. Można taką postawę łatwo zrozumieć, choć wolno też sobie zadać pytanie, czy postępowanie

Pierwszego Konsula i dowódców Armée i de Saint Domingue nie zwalniało — w płaszczyźnie moralnej oczywiście, nie zaś formalnej — legionistów od przysięgi. A przecież spora część Polaków sympatyzowała z powstańcami, walczącymi wszak tak jak oni o niepodległość ojczyzny. Znamienny też jest inny, psychologiczny aspekt badania i opisu przez Europejczyka wojny o niepodległość Haiti. Najczęściej, świadomie lub bezwiednie, szuka on „optymistycznej” alternatywy, a więc możliwości ukazania niewykorzystanych możliwości osiągnięcia przez Francuzów zwycięstwa. Takie akcenty można odnaleźć w książce Pachońskiego. Zastanawianie się nad tym, co by było, gdyby ... nie jest naganne, a odwrotnie, godne pochwały. Sadzę wszakże, iż w danym, konkretnym przypadku należy zrobić wszystko, by nie dać się zasugerować przekazom strony przegrywającej. Zauważmy, że źródeł do dziejów wojny 1802—1803 r. mamy bardzo wiele ze strony francuskiej, wiele z brytyjskiej, niemało z hiszpańskiej i amerykańskiej i bardzo mało z haitańskiej. Sukces Murzynów i Mulatów z San Domingo, materializujący się w postaci zwycięstwa i utworzenia niepodległego Haiti, był tak niespodziewany, zaskakujący, niewiarygodny i „ekscytryczny”, tak dalece wyprzedzający czasy, w których został odniesiony, że bardzo długo tego cudaczno-strasznego wyjątku nie przyjmowano do wiadomości ani w Europie, ani w USA. Czynili tak zwłaszcza Francuzi, co zresztą naturalne. Któż w końcu lubi przegrywać i do tego z pogardzanym przeciwnikiem, wrogiem anonimowym, „prymitywnym”, „dzikim”, skazanym przez cywilizowanego człowieka na to, by stanowić li tylko mierzwę i przedmiot historii?

Pierwsze założenie alternatywne wobec rozwoju rzeczywiście zdarzonego, to doprowadzenie do kompromisu między Bonapartem a Toussaint-Louverturem czyli nie interweniowanie zbrojne na San Domingo. Sam Napoleon przyznał na wyspie Św. Heleny, że trzeba było ugodzić się z Pierwszym wśród Czarnych. Czy przedłużyłoby to panowanie francuskie nad Saint Domingue? Możliwe, lecz z pewnością wymagałoby trudnej, dalekosiężnej i odważnej decyzji uznania dominialnego *avant la lettre* charakteru Toussaintowskiego San Domingo. Tymczasem potężne plantatorskie *lobby* pragnęło całkowitej i szybkiej restauracji dawnych porządków. Restauracja po powstaniu antyniewolniczym była — moim zdaniem — zamysłem podobnym do podjęcia próby rozwiązania kwadratury koła.

Alternatywą tego, co wydarzone, mogłoby być lepsze pod względem militarnym zaplanowanie i wykonanie operacji „zdobycie i pacyfikacja”. Przede wszystkim Francja musiałaby docenić przeciwnika i wysłać jednorazowo więcej dobrze przygotowanego wojska (zwłaszcza do najgłębiej przeoranego przez rewolucję departamentu północnego). Musiałaby również zażegnać groźbę brytyjską, a więc zdobyć Jamajkę. Czy było to możliwe? Chyba tak, lecz niezmiernie trudne i w długiej perspektywie czasu mało prawdopodobne. Zauważmy, że z tych, co zetknęli się z rewolucją antyniewolniczą na San Domingo w latach 1791—1801 i doznali porażki, a więc Anglików, Hiszpanów i Francuzów właściwe wnioski wyciągnęli pierwsi ale nie Francuzi. Niektórzy utrzymują, że to, co się udało na Gwadelupie mogło się również udać na San Domingo. Tyle, że na Gwadelupie siły powstańcze były nieporównanie słabsze niż na San Domingo, że Murzyni gwadelupscy nie mieli tak wybitnych przywódców jak Haitańczycy, że ruch antyniewolniczy na Gwadelupie stanowił tylko rebelię, podtrzymywaną z zewnątrz przez europejskich jakobinów (Victor Hugues), podczas gdy w Saint Domingue dokonała się głęboka, ludowa rewolucja. Zauważmy wreszcie, że po restauracji dawnego porządku na Gwadelupie kolonia ta nie odzyskała już swej dawnej ekonomicznej świetności. Wydaje się, że na zrekolonizowanie San Domingo przez Francję było już w 1802 r. za późno. Nawet ewentualny sukces militarny rekonkwisty byłby tylko pyrrusowym zwycięstwem.

Tylko niewielu plantatorów francuskich rozumiało, że o losach San Domingo zadecydowało w znacznej mierze wielkie powstanie niewolników dep. północnego w 1791 r. Nie rozumiał tego Napoleon, nie rozumiała tego — po części aż do dziś — historiografia francuska. Wszystkie wskaźniki ekonomiczne, polityczne, militarne, a zwłaszcza socjopsychologiczne z lat 1791—1801 (postawy, stan umysłów, świadomość społeczna, emocje zbiorowe) unaoczniają jeden fakt bezsporny: sierpień 1791 oznaczał destrukcję systemu kolonialno-niewolniczego, panującego we francuskiej części San Domingo i decydującą cezurę w dziejach

tego kraju. Jan Pachoński raczej nie docenił znaczenia powstania sierpniowego, sprowadzając je do roli jednego z wydarzeń lokalnych (s. 31). Zauważmy, że wielu Francuzów, nie wyłączając Ludwika XVI, zdobycie Bastylji też uznawało za ewenement lokalny. Nic tedy dziwnego, że w różnych partiach książki Pachońskiego pojawiają się akcenty niedoceniań zarówno powstania sierpniowego jak całej rewolucji haitańskiej.

Jest rzeczą bezsporną, że wojnę o niepodległość Haiti rozpoczęli latem 1802 r. chłopscy, „góralscy” partyzanci. Czy głównie oni przyczynili się do ostatecznego zwycięstwa? Na pewno nie. Z pewnością jednak bez owego „rozrusznika”, jakim było drugie powstanie sierpniowe w 1802 r. (pierwsze to oczywiście rok 1791), „czarne”, czyli kolonialne oddziały francuskie nie przystąpiłyby do walki przeciw Leclercowi, a nawet mogłyby być zostać rozbrojone. Wbrew Pachońskiemu (s. 49) uznanie przeze mnie roli „nieregularnych” nie jest wyolbrzymieniem znaczenia Afrykanów. Pachoński myli się, pisząc, że w książce „Haiti. Początki państwa i narodu” podkreślałem rolę kultów afrykańskich w insurekcji 1802 r. Pisałem tak o powstaniu niewolniczym 1791 r. Natomiast wiele łączyło (zaciętość, nieustępliwość, fanatyczna odwaga) sierpniowych insurgentów 1791 i 1802 r. Ujawniła się natomiast istotna różnica, której Jan Pachoński nie zauważył. W 1791 r. powstanie było murzyńskie (kadry i masy), a w 1802 r. murzyńsko-mulackie, choć znaczną większość powstańców stanowili Murzyni (w tej liczbie znalazło się niemało urodzonych na wyspie). Niemal wszyscy historycy tak są zasugerowani rolą Kongosów (przesadzoną, jak już wspomniałem), że nie zauważają, iż spora część kadr dowódczych powstania 1802 r. to byli Mulaci (np. Lamour-Dérance).

Nikt z poważnych historyków nie neguje znacznej roli pomocy angielskiej w uzyskaniu zwycięstwa przez powstańców, lecz nie należy też jej nadmiernie wyolbrzymiać. Pachoński na s. 49 silnie podkreśla fakt, że Brytyjczycy nie uznawali partyzantki lub, jak pisze, „nieregularnych band” (to chyba pogłos francuskiej nomenklatury: *hordy*, *bandy*, *bryganci*). Czy jednak to nieuznanie miało tak wielkie znaczenie? Dla partyzantów na pewno nie, bo walczyliby i bez żadnej pomocy z zewnątrz. A dla losów całego powstania i wojny wyzwolenczej? Przecież i tak przez dobre pół roku od sierpnia 1802 r. pomoc angielska była albo żadna albo minimalna. Znaczna część powstańców była do wiosny 1803 r. bardzo słabo uzbrojona, stąd też duże ich straty.

Akcent niedoceniań bitności i odwagi armii murzyńskiej, tym razem regularnej, daje się wyczuć przy omawianiu obrony fortu Crête-à-Pierrot. Pachoński stwierdza, że garnizon po zażartej walce kapitulował (s. 42). Jest to nieścisle. Resztki żołnierzy murzyńskich przebiły się przez linie francuskie i ruszyły w góry. W forcie znaleźli Francuzi tylko zabitych i rannych. Poddali się tylko ranni.

Autor omawianej książki utrzymuje (tym razem za niewielką częścią historiografii), że Francuzi po 1804 r. zachowali jeszcze pewne szanse na rozpoczęcie ze wschodniej części wyspy kontrofensywy przeciw Haiti (s. 226). Biorąc pod uwagę sytuację polityczno-militarną Francji, zwłaszcza po Trafalgarze, potęgę morską Anglii i stan permanentnej mobilizacji armii haitańskiej, szanse takie były, ostrożnie rzecz ujmując, znikome.

7. Trzy są ważne sprawy polskie, trudne, dyskusyjne i nie do końca wyjaśnialne, które po raz pierwszy tak szeroko zostały przedstawione w naszej literaturze naukowej właśnie na kartach książki Pachońskiego.

Istotna ze względów tak naukowych jak uczuciowych jest kwestia, parokrotnie gorąco dyskutowana, postawy żołnierzy polskich podczas wymordowania (*baïonnette*) około 400 żołnierzy murzyńskich w St Marc (październik 1802 r.). Pachoński doszedł do nader cennych ustaleń. Przede wszystkim udowodnił, że na miejscu masakry 12. półbrygady kolonialnej nie przebywał cały polski batalion, lecz tylko dwie kompanie (około 115 ludzi). Jeśli tak, to nie jest prawdopodobne, by sami nieliczni Polacy mogli dokonać egzekucji. Musieli to uczynić Francuzi (s. 86—89). Ustalenia Pachońskiego są niepodważalne a jego wnioski w znacznej mierze przekonujące. Moje dotychczasowe badania tej sprawy (nie wywiązałem się, jak dotąd, z obietnicy bliższego zajęcia się tą kwestią) wskazują na jedno: nie ma praktycznie szans na odkrycie nieznanych źródeł mogących rzucić nowy snop światła na ten tra-

giczny epizod wojny 1802—1803 r. Będziemy zapewne wciąż operować hipotezami. Rozważając raz jeszcze sprawę *baïonnette* nasuwają mi się następujące pytania. Czy niewykonanie przez Polaków rozkazu wyklucia Murzynów mogło im ująć bezkarnie? Czy, innymi słowy, po wykonaniu masowej egzekucji przez żołnierzy wyłącznie francuskich ich dowódca mógł nie poinformować władz nadrzędnych o niewykonaniu rozkazu przez legionistów? Wydaje się to mało prawdopodobne, choć wykluczyć takiej ewentualności nie można, gdyż Francuzi potrzebowali każdego żołnierza i mogli być zmuszeni do popatrzenia na niezdiscyplinowanie przez palce. Natomiast gremialne odmówienie *baïonnette* z powodów moralnych — tu podtrzymuję moje stanowisko z czasów dyskusji nad filmem „Popioły” — jest mało prawdopodobne. Pachoński mocno podkreśla polską wierność przysiędze. Czy akurat w tym wypadku mogła się zachwiać? Dlaczego? Przecież Pachoński wyraźnie mówi o tym, że powstańcy dopiero w 1803 r., w drugiej fazie wojny, oszczędzali Polaków, początkowo traktując ich okrutnie na równi z Francuzami. Mordowanie bezbronnnych jenców było wówczas nagminne po obu stronach. Polacy uważali wtedy powstańców za bandytów. Jednakże, rzecz to ważna, mordowani w St Marc Murzyni nie byli powstańcami (co najwyżej potencjalnymi). W tej sytuacji mogły oczywiście pojawić się skrupuły i wahania. Ustalenie, że Polaków było tylko 115 jest argumentem ważkim ale nie przesądzającym ostatecznie sprawy. Przecież wspólnie z liczniejszymi Francuzami legioniści mogli bez trudu wykonać rozkaz. Legenda haitańska, mówiąca o odmowie ze strony Polaków masakrowania bezbronnnych Murzynów, nie może być — moim zdaniem — całkowicie fałszywa. Jednocześnie trudno wytłumaczyć, czemu to pamiętnikarz, czyli Wierzbicki, który zapewne dowodził owymi 115 Polakami (s. 89), miałby kłamać, stwierdzając *expressis verbis*, że legioniści wzięli udział w wykluciu czarnych żołnierzy. W końcu najprawdopodobniejsze jest przypuszczenie, że Polacy zachowali się powściągliwie, a więc częściowo przynajmniej udawali, maskowali *baïonnette*. Bo szlachetne zbiorowo wykonane gesty (wbicie bagnatów w ziemię) to — znając okoliczności wydarzenia i wojnę 1802—1803 r. — można i trzeba potraktować jako wzruszający, ale literacki obrazek ku pokrzepieniu serc.

Drugim ważnym problemem jest kwestia sposobu, w jaki część legionistów (nie miała, bo około 400, czyli *circa* 7%, ogółu sił polskich, zaangażowanych na San Domingo) znalazła się po stronie haitańskiej. Pachoński udawadnia, że znaczna większość legionistów, którzy później pozostali na Haiti, to jeńcy, którzy znaleźli się w trudnej, przymusowej sytuacji, często porzuceni przez Francuzów i po prostu nie mieli innego wyjścia jak pozostać na wyspie, której opuszczenie byłoby prawie niemożliwe. Tylko nieliczni świadomie, w toku walk, przeszli na stronę Dessalinesa. Jednakże źródeł mamy bardzo niewiele i zapewne nigdy nie sporządzimy listy imiennej tych, co pozostali. Równie mało prawdopodobne wydaje się ustalenie, ilu było dezertarów a ilu jeńców. Haitańczycy i Francuzi skłonni są wyolbrzymiać liczbę tych, którzy przeszli do armii Indépendents. Pachoński odwrotnie. Sądzę, że to autor „Polaków na Antylach” ma więcej racji. Czy jednak trochę nie przesadził, redukując liczbę „dezertarów” do paru dziesiątków tych, co później weszli w skład gwardii Dessalinesa i kilku innych wypadków raczej jednostkowych? Parokrotnie mówi wszak i o dezercji, i o przechodzeniu do powstańców (s. 142, 161). Zauważmy, że praktycznie wszystkie odnotowane wypadki dotyczą oddziałów, operujących w departamencie południowym. Nie jest to rzeczą przypadku, gdyż w 1803 r. dowódcy „Niezależnych” na Południu dobrze już rozróżniali Polaków od Francuzów i do naszych rodaków nastawieni byli życzliwie. W końcu nie jest najważniejsze czy przeszło na stronę insurgentów 40 czy 80 Polaków, bo że stanowili mniejszość wśród owych 400 „polskich Haitańczyków”, to pewne. Pozostaje tylko wyjaśnienie sprawy oficerów, którzy pozostali w Haiti. Pachoński wywodzi, że takich w nich nie było, że w kraju Dessalinesa osiedli jedynie szeregowcy i podoficerowie. Zapewne ma rację. Moje wątpliwości dotyczą tylko dwóch podporuczników: Andrzeja Makowskiego i Mniewskiego (imię nie jest znane). W spisie oficerów (s. 357) pisze Pachoński, że obaj „przypuszczalnie” zginęli w Jérémie, lecz w tekście głównym (s. 165) stwierdza, że o nich „słuch zaginął”. Sądzę, że nie można w tej sytuacji odrzucić z góry możliwości pozostania na wyspie Makowskiego i Mniewskiego.

Pozostaje jeszcze sprawa ostatnia, a mianowicie problem losów Polaków pozostałych w Haiti. Pachoński zebrał prawie wszystko, co na ten temat dotąd napisano (chyba tylko nie wyzyskał mego szkicu w książce „Azjatycka i afrykańska Ameryka”). Wymieniając główne ośrodki zasiedlone przez Haitańczyków polskiego pochodzenia pisze autor o Casale (Cazale), regionie Fond-des-Blancs i La Baleine oraz o wyspie Gonâve (s. 271—272), pomija natomiast okolice Port Salut. Zauważmy, że ta ostatnia miejscowość położona jest najbliżej Jérémie, skąd zapewne przybyła większość pozostałych w Haiti Polaków. Czy nasi rodacy pozostawili jakieś ślady w kulturze i obyczajowości Haitańczyków? Z pewnością tak (budownictwo, ubiór, muzyka, język), choć są to ślady nikłe. W moich badaniach, które się niestety przeciągają, staram się wyzyskać raczej poszukiwania demograficzne, etnograficzne i folklorystyczne niż historyczne *sensu stricto*, gdyż bezpośrednich informacji o naszych haitańskich rodakach brak. Warto chyba dodać ostatni, możliwie dokładny rozdział do ciekawej i wartościowej książki Jana Pachońskiego. Postaram się to zrobić. Będzie to wszakże studium nie o Polakach na San Domingo, bo takowe dzięki prof. Pachońskiemu już posiadamy, lecz o Haitańczykach polskiego pochodzenia i ich miejscu w dziejach i kulturze czarnej antylskiej republiki.